

# Rotspitzen i pierwsze kuku w górach

*Powyżej na zdjęciu spoglądam w kierunku Leibnitzer Rotspitzen – „a może by tak jeszcze dziś...”*

*Na Staniskascharte schodzę powoli, ześlizgując się z kamienia na kamień. W pewnym momencie widzę jak Dziku gada coś z Agą, a zaraz po tym goni w kierunku bez szlaku. Myślę sobie „o co chodzi?”... wkrótce Aga wyjaśnia, że poszedł na drugi szczyt. Pokręciłam głową z niedowierzaniem. No tak... śmieję się w duchu... Dziku Maniak – dziczyzna maniakałna, tego to na pewno nie da się wyleczyć.*

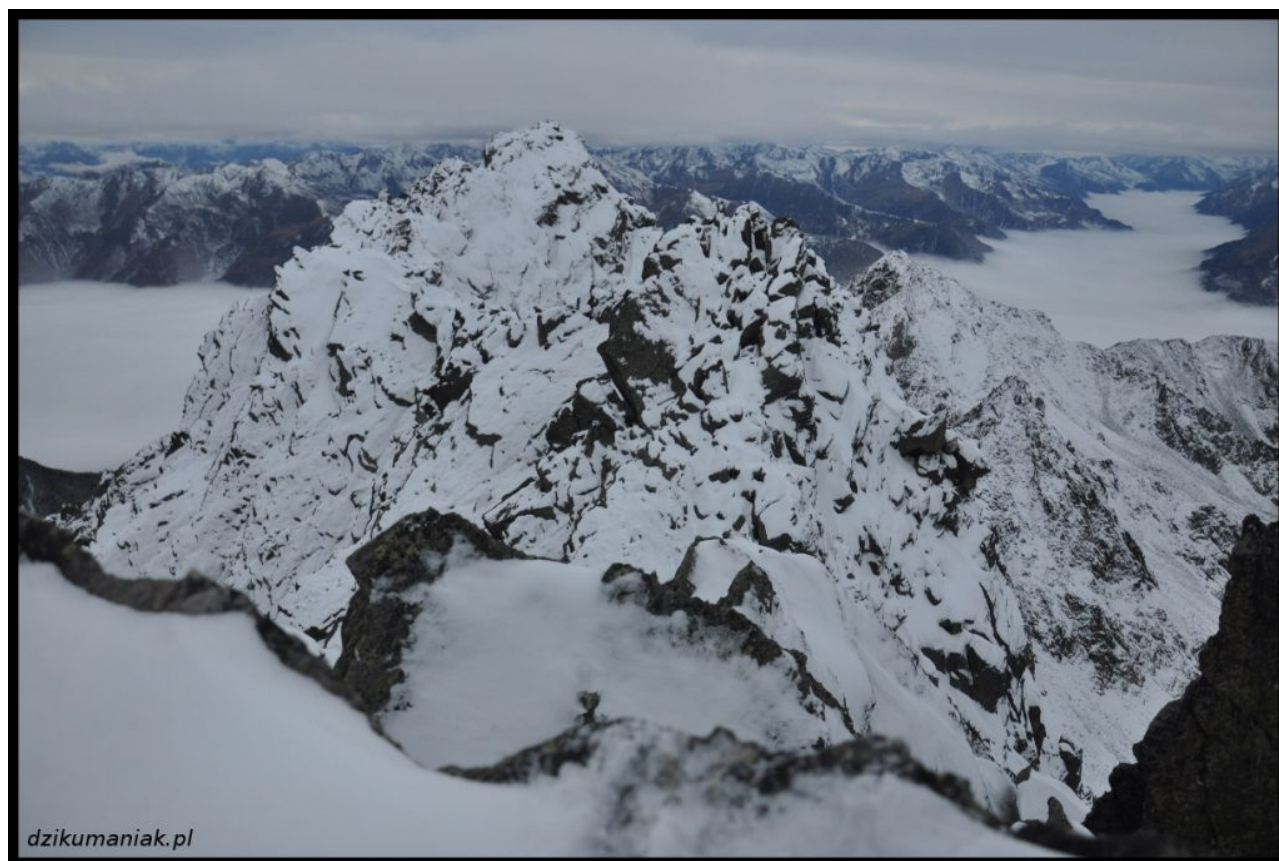
Kamila

Po zejściu ze szczytu Hochschober (3240) na przełęcz Staniskascharte (2930) postanawiam wejść jeszcze na pobliską górę. To Leibnitzer Rotspitzen – postrzępiony grzebień z kilkoma wierzchołkami. Najbliżej mnie znajduje się akurat ten najwyższy z nich – 3101 m. Zakładam, że jestem w stanie do niego dotrzeć przed zmrokiem. Aga próbuje argumentować, że (delikatnie mówiąc) nie jest to najlepszy pomysł. Jednak nie jestem w stanie odpuścić. Wciąż mam w głowie ostatni wypad do Szwajcarii, gdzie w zejściu byłem tak słaby, że odpuściłem pobliski Ulrichshorn (3925m), a był on tak kusząco blisko. Teraz czuję się świetnie, więc działałam.

Do góry posuwam się szybko, bez żadnych odpoczynków, przystanków. Jedynie, kiedy muszę w stromej skale wyszukać pod świeżym puchem chwytów wymaga to chwili zatrzymania. Zanurzam głęboko dłoń i macam gładką skałę, gdy tylko łapię za chwyt podciągam się i przeskakuję trudność. Nie kontroluję czasu, nie oglądam się na nikogo, idę wyżej i wyżej. Czasem dostrzegam kopczyki z kamieni i dodaje to otuchy. Czasem

dostrzegam je zupełnie gdzieś poza zasięgiem i to odbiera pewności siebie. Ale to normalne w górach, ta zmiana nastrojów od „jest super” do „jest do bani” – zmiany drastyczne i szybkie. Wkrótce się przekonam jak bardzo.

Od przełęczy do szczytu prowadzę pewien dialog, a właściwie modlitwę. Dziękuję, że mogę być tu i teraz i nie czuję się sam. Jest pierwszego listopada i żałuję, że w pośpiechu wypakowałem wszystkie świece w schronie, bo jedną z nich chciałem zapalić na szczycie. Zamiast tego, gdy łapię się przewieszanej na wschodnią stronę skały i widzę, że wyżej nic już nie ma – całuję ją. Całuję zimną i wilgotną skałę i czuję to na ustach aż do zejścia na przełęcz.



*Na wschodnim wierzchołku. Dalej nie pójdę. Zaraz będzie ciemno.*

A zejście jak zwykle było bardziej niebezpieczne. Gdzie mogę to zsuwam się z boczem na tyłku, byle szybko opuścić ten niepewny teren i znaleźć się na oznakowanym szlaku. Już jestem z powrotem na przełęczy, teraz w dół po skale, trochę niepewnie, z poślizgami, ale bez upadku. Jestem pod skałą i

chwytam za zostawione w tym miejscu kijki. Przede mną „bezpieczny” szlak po morenie i przysypanych śniegiem skałach. Przeszedłem może 50 metrów i slizga mi się noga na skale. Uderzam kolaniem w wystający kamień, padam głową w śnieg, zwijam się i głośno wyję z bólu. Wydaje mi się, że minęła minuta, ale kiedy podnoszę głowę jest już zupełnie ciemno.

*Schodzimy do miejsca pozostawienia kijków. Czuję, że sił jest coraz mniej, czuję też lekkie uciśnięcie głowy. Zdejmuje kask, jest ciut lepiej. Nastawiam się na równomierny trekking, aby jak najlepiej rozłożyć energię na tym odcinku. Tomek co chwilę zagląda na szczyt i wypatruje Dzikusa. Woła. Nic. Nie dość, że dziki to jeszcze ma ubranie w kamuflaż i nie odróżnia się od ciemnych skał. Zaczyna brakować światła.*

Kamila

**Tekst (oprócz ramek): Dziku**